

Co przeczytałem

Od tego numeru rozpoczynamy druk stałej rubryki „Co przeczytałem”, do współredagowania i kształtowania której serdecznie zapraszamy wszystkich dotychczasowych i nowych autorów, czytelników „Kontekstów”. Chcielibyśmy zamieszczać w tej rubryce omówienia nie tylko aktualnie pojawiających się książek, ale także uczynić ją miejscem wymiany myśli i refleksji jakie wywołują Państwa bieżące lektury. Liczą się tu zatem także i książki wydane wcześniej, czytane ponownie i po latach, poruszane w nich zagadnienia, tematy, problemy, i myśli jakie te lektury ewokują. Wszystkich chętnych do podzielenia się z nami swoimi lekturami serdecznie zapraszamy. Wszystkie interesujące wypowiedzi o tym, co przeczytaliście opublikujemy.

Redakcja

Zbigniew Benedyktowicz

Małe i Wielkie Ojczyzny

„Mieszka się nie tylko w budynkach ale i w pamięci, w tradycji, historii, kulturze. A w Warszawie jest to ważniejsze niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie. Czasami trudno pojąć, że to miasto istnieje. Mój cel, zachowując proporcje, podobny jest do zamysłu tych, którzy je odbudowali. Kolejne miesiące niosą ze sobą tyle widoków po to, by poświadczyć, przypominały życie, jakie się tu toczyło przed zniszczeniem miasta.” – Warszawa otrzymała niezwykle cenny prezent w 400-lecie swojej stołeczności, książkę Małgorzaty Baranowskiej *Warszawa. Miesiące, lata, wieki*, z której pochodzi ten cytat. Jej fragmenty drukujemy obok. Książka nie była pisana „na rocznicę”. (To, że ukazuje się teraz to szczęśliwy przypadek, o którym jeszcze będzie tu mowa.) Kto zna autorkę i jej *Pamiętnik mistyczny* wie, że Warszawa to szczególny jej temat, i sprawa dla niej szczególna. Książka liczy 356 stron wraz z aneksem (bibliografią, spisem ilustracji, indeksami nazwisk i rzeczowym) zawiera 600 ilustracji w wyborze Marty Zielińskiej. Niewiarygodne zamierzenie: zawrzeć blisko 350 lat (od przeniesienia stolicy do Warszawy po jej zniszczenie i zrównanie z ziemią po powstaniu warszawskim), lata 1596-1945, na niespełna 350 stronach. – Warszawa otrzymała, my otrzymaliśmy niezwykle cenny prezent (niech mi wybaczą uczeni Varsavianie) jakiego by żaden Varsavianista nie zgotował. Bowiem na tle najbardziej nawet rzeczowych, wyczerpujących, ale częstokroć nużących, by nie powiedzieć nudnych, opracowań varsavianistycznych, książka Baranowskiej wyróżnia się tym, że operuje swoistym, szczególnym rodzajem skrótu i syntezy połączonym z umiłowaniem dla szczegółu i konkretności: została napisana przez poetkę. Dzięki temu otrzymaliśmy specjalny przewodnik. Przewodnik wtajemniczenia w Warszawę. Bo tak należałoby chyba tę książkę, tę opowieść Małgorzaty Baranowskiej o Warszawie nazwać.

Paradoksalna książka. Z jednej strony wpisuje się ona jakby w szerszy nurt „nowej varsavianistyki” tworzonej notabene przez pisarzy i literaturoznawców, czego najlepszym przykładem może być niedawno wydana książka Marty Zielińskiej *Warszawa. Dziwne miasto*, w którym autorka zmierzając do uchwycenia i opisanego genius loci tego miasta, podkreśla szczególnie i wydobywa na plan pierwszy fantasmagoryczny wymiar Warszawy, jaki zawarty został w pisarstwie Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Konwickiego, Bolesława Prusa, Isaaca Bashevisa Singera, Leopolda Tyrmanda, biorąc obok nich za materiał i źródło do tropienia owego fantasmagorycznego wymiaru także *Pamiętnik mistyczny* Małgorzaty Baranowskiej. (Wspomniałbym przykładem owej dziwności i fantasmagoryczności może być choćby ta uwaga Marty Zielińskiej jaką poświęca tablicom upamiętniającym dawne ulice, faktowi poszukiwania schronienia jakiego szuka to miasto w słowach: *Podobnych tablic nie ma chyba żadne miasto. Nie upamiętniają*

one ani ludzi, ani zdarzeń, lecz zaznaczają zwyczajne skrzyżowania. Na jednej napis z brązu głosi «Tu było skrzyżowanie ulic Chmielnej i Wielkiej». Było. Teraz są duchy skrzyżowań. Symboliczne nagrobki – tak tutaj popularne. (...) Nie wiem kto wpadł na tę myśl, ale wiem, że poprzez nią właśnie przemówił duch Warszawy, miasta, które pozbawione wystarczająco solidnej i niezmiennej podstawy materialnej – szuka schronienia w bytach idealnych, czyli w słowach, literach.)

Z drugiej jednakże strony książka Baranowskiej *Warszawa. Miesiące, lata, wieki*, która sytuuje się i którą rozpatrywać można w najściślejszej bliskości wobec wspomnianego wyżej nurtu „varsavianistyki pisarzy”, (do którego zaliczyć by można, wydane także ostatnio w dwu tomach *Powidoki* Marka Nowakowskiego) różni się od tego nurtu znacznie, tym właśnie, że zawiera w sobie, odwołując się do rozmaitych źródeł, w tym także do opracowań stricte varsavianistycznych, kompendium solidnej wiedzy faktograficznej i historycznej o tym niezwykle miasteczku, wiedzy o jego ulicach, dzielnicach, architekturze, ludziach, sztuce, muzyce, teatrach, kinach, wynalazkach, rozrywkach, artystach, ogrodach, pałacach, kościołach, instytucjach, drobnych i wielkich zdarzeniach, o wydarzeniach małych i wielkiej historii dziejących się tu na przestrzeni tych z górą 350 lat i kształtujących ducha tego miasta. Małgorzata Baranowska znalazła swoją oryginalną drogę pokazania Warszawy. Miała swój pomysł, swój własny „sposób na Warszawę”, tak by w opisie zawrzeć zarazem jej zwyczajność i niezwykłość, dziwność i fantasmagoryczność, materialność i konkret, tak by przywoławszy historyczne fakty pokazać jednocześnie niezwykłość i wyjątkowość tej historii. Znacząca pod tym względem jest już sama cezura przyjęta przez autorkę, czas do którego sięga jej opowieść o mieście. Kończy się on na 1945 roku (a właściwie zimą, w grudniu 1944). Już sama ta cezura i na początku ujawniony cel opowieści „przypomnieć życie, jakie się tu toczyło przed zniszczeniem miasta” pokazuje wyjątkowość historii tego miasta liczonej i opowiadanej nie jak w przypadku innych miast *ad urbs condita*, od założenia miasta, lecz *ante urbs destructionem*. To samo miasto narzuca tu niejako ten własny, inny zmysł historii. Anachroniczny zamiar odbudowywania obrazu miasta jakim było przed zniszczeniem zbiega się znacząco z indywidualnym czasem zapisanym w biografii autorki. Gdy spojrzymy do noty biograficznej zamieszczonej w książce, znajdziemy bowiem jeszcze jeden paradoks – Małgorzata Baranowska autorka książki o Warszawie urodziła się w 1945 roku... w Krakowie (paradoks może nie tak zaskakujący, bo dający się objaśnić i zrozumieć w świetle doświadczenia, jakie było udziałem wielu warszawiaków, których rodzice i rodziny znajdowały schronienie po powstaniu warszawskim w Krakowie). Informacja ta jednak o tyle jest dla nas ważna, że opowieść o Warszawie doprowadzona jest tu

niejako do czasu własnych narodzin autorki i ilekroć wypadnie nam powiedzieć, że mamy w tej książce do czynienia z subiektywnym, osobistym ujęciem i wymiarem historii, to urok i tajemnica takiego osobistego podejścia wydają się też i na tym właśnie polegać, że subiektywizm i osobisty ton tej opowieści jest niezwykle oszczędny i w zasadzie do tej delikatnej (zaledwie zasygnalizowanej i dającej się wyczytać tylko z noty biograficznej) ukrytej relacji pomiędzy historią wielką a własną biografią wyraźnie się ogranicza. Przede wszystkim jest to książka sięgająca w głąb czasu, przed własne osobnicze doświadczenie, zbudowana dzięki sile i pracy *w o b r a z n i*, porządkującej w swoisty dla siebie sposób ogromny materiał źródłowy, wyobraźni umiejętnie wsłuchującej się w najrozmaitsze źródła, posługującej się swobodnie głosami i relacjami innych autorów, wyobraźni spoglądającej na Warszawę „czuymi oczami”. Wyobraźni nie dającej przy tym ani razu odczuć ciężaru wykonanej pracy dokumentacyjnej. Na czym polega pomysł, „sposób Baranowskiej”, na Warszawę, na opowiedzenie jej historii? – Ramą tej opowieści, ramą, a zarazem strukturą organizującą tę książkę jest rok, 12 miesięcy. Zaskakujący jest ten spis treści przewodnika historycznego do miasta, przewodnika wtajemniczającego w historię Warszawy, jego 12 rozdziałów: *Styczeń, Luty, Marzec, Kwiecień, Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Listopad, Grudzień*.

Rok to cykl kosmiczny, rytm zmian cykliów wegetacji, klimatu, to rytm wyznaczany przez zmiany pór roku, przez cykl dorocznych świąt. Każdy rozdział – miesiąc odznacza się tu swoim własnym klimatem i atmosferą. Każdy do tego ma jakiś swój przewodni motyw, nastrój. Dzięki temu książka *Warszawa. Miesiące, lata, wieki*, i budowany w niej obraz Warszawy tworzone są ze zmieniających się barw, zapachów, kwitnienia kwiatów i drzew, odgłosów, dźwięków i okrzyków miasta. A w każdym miesiącu spotykają się obok wielkie i małe sprawy, nakładają na siebie daty różnych historycznych wydarzeń i rocznic. Jednakże wydarzenia, epoki, zmiany sąsiadują tu ze sobą nie na zasadzie prostej chronologii, następstwa czy wynikania faktów jednych z drugich, lecz układają się jak w kalejdoskopie. Chronologia w tej opowieści jest wielogłosowa, tak jak cała książka *Warszawa. Miesiące, lata, wieki* – polifoniczna. W *Styczniu*: zima 1940 roku (za sprawą listu wówczas napisanego do Warszawy przez autorkę *Dyżurnu warszawskiego* i późniejszych *Fantomów* – por. obok) sąsiaduje z zimą 1807 roku, z balem wydanym z okazji pobytu w Warszawie Napoleona, na cześć cesarza (najpierw zajrzymy do kamienicy Tepperów na Miodowej na bal wydany przez Talleyranda, potem do pałacu Potockich, by zatrzymać się tam na dłużej, cofnąć się wstecz – do czasu, gdy pośród 90 osób, dla których nakrywano tam codziennie, gościem był i do stołu zasiadał w nim znany europejski awanturk z Wenecji Casanova) – by potem znów wybiec w przyszłość i znaleźć się na uczcie historycznej wydanej na cześć Niemcewicza: *Urządzono to wszystko według powieści historycznej Niemcewicza „Jan z Tęczyna”*. Nagle zaskoczony solenizant znalazł się na dworze Zygmunta Augusta wśród obecnych: Jana Kochanowskiego, Reja, Królowej Bony i innych postaci z jego utworu. Stamtąd zaś wyszedłszy, gdy już minie ulicę Niemcewicza – nazwaną tak w 1919 (przedtem nazywaną się: Droga Królewska, bo prowadziła z Ujazdowa do Wsi Wielka Wola na tereny elekcyjne) możemy podążać znów dalej i wsiąść do warszawskiej EKD – Elektrycznej Kolejki Dojazdowej otwartej w 1927 roku. – To tylko zaledwie jeden przykład, wyrwany spośród wielu z jednego tylko miesiąca: *Stycznia*. *Luty* objawi się nam tutaj jako miesiąc karnawału i cyrku, miesiąc przybycia poety, który miał się stać jednym z największych poetów polskich – Juliusza Słowackiego – miesiąc walk, ale i budownictwa. *Marzec* – to rocznica przeprowadzki królewskiej wraz z całym dworem do Warszawy, a więc stoi pod znakiem Zamku Królewskiego, jego zmieniających się wnętrz i lokatorów,

założenia na Zamku pierwszego teatru w Polsce (Władysław IV, 1637), mających w Zamku miejsce wielkich wydarzeń, ale i miesiąc – by wspomnieć konspiracyjne wydanie książki Aleksandra Kamińskiego *Kamieni na szaniec*, i Akcję pod Arsenalem – (*Ilustracje marców warszawskich nie poznaliśmy?* – pisze Baranowska – *Takie miasto ma kalendarz bardzo przeładowany, tutaj codziennie coś się dzieje. Gdybym sama miała wybierać, chciałabym się znaleźć w Teatrze Narodowym – wówczas na pl. Krasińskich – 17 marca 1830 r. Nie, nie chodzi o sztukę teatralną, lecz o pierwszy, tak wielki, pod względem zarówno publiczności, jak repertuaru, koncert młodego, ale już znanego pana Fryderyka Chopina. Grał on własne utwory, przez wszystkich oczekiwany, sławny jeszcze przed ukończenia, Koncert f-mol, op. 21 i Fantazję A-dur na tematy polskie, op. 13. Orkiestrą dyrygował Karol Kurpiński. Na sali było 800 osób. Zgotowano Chopinowi wspaniałe przyjęcie. On sam był skłonny podejrzewać, że słuchacze przesadzili w owacji, ponieważ zarówno on, jak i Kurpiński zorientowali się dopiero w czasie koncertu, iż prywatny fortepian Chopina, na którym grał, okazał się zbyt miękki na taką salę.*) *Kwiecień* – to Wielkanoc. *Maj* – bzy, majówki na Bielanach. *Czerwiec* – noc świętojańska, wianki, rzeka, Towarzystwo wioślarzy. *Lipiec* – letniska, wyjazdy do wód, Wilanów. *Sierpień*... *Warszawskie dzieci*, śmierć poetów: Gajcy, Baczyński, i *noce sierpniowe*..., rok 1944; to też Bitwa warszawska 15 sierpnia 1920, – I tak już do Grudnia – *Wrzesień* 1939, *Starzyński*, *Październik* – miesiąc w którym Łazienki przybierają najpiękniejszą barwę – był także miesiącem bezprecedensowego wygnania wszystkich mieszkańców po upadku powstania warszawskiego w roku 1944. Była to ostatnia chwila Warszawy takiej, jaką w tej książce usiłujemy poznać. – *Listopad* – 1830 rok, wybuch niepodległości 1918, Piłsudski, *Grudzień* – Boże Narodzenie, odsłonięcie pomnika Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu: *Odsłonięcie tej statuy stało się wielką i niezwykłą manifestacją. Różniła się od innych tym, że odbywała się w całkowitym milczeniu obecnego tłumu. Działo się to w stulecie urodzin Mickiewicza 24 grudnia 1898 r.* – To tylko ogromny skrót skrótów, z tego, co zawiera rytm tej książki-roku, jeszcze jeden układ, zaledwie cząstka z tej struktury obrazów miasta nagromadzonych, przenikających jedne w drugie w tej opowieści, jak w kalejdoskopie. Bo inaczej jej oddać nie sposób – trzeba by przepisać ją całą. Napewno trzeba przeczytać ją całą. Bo nie sposób jej streścić. Nawet w tak zasygnalizowanym zaledwie skrócie jakże wiele musieliśmy pominąć. Wielki wiatr historii swym tchnieniem kładzie się na te obrazy co chwila. Wiatr wielkiej historii odciska na nich swoje piętno. Bo *Styczeń* u Baranowskiej, to i pięciu poległych, powstanie styczniowe, i rocznica Olszyny Grochowskiej, i marsjański obraz miasta, ziemia robinsonów, i powrót pokonanych wojsk Napoleona, i Cytadela.

Kwiecień to nie tylko Wielkanoc suto zastawionych stołów, to groby wielkanocne w kościołach okupowanej Warszawy, i wielki grób holokaustu na ruinach Getta, na sumieniu świata i Europy, droga na Umschlagplatz Korczaka i Stefani Wilczyńskiej. – *Grupom dzieci z domów opieki i sierocińców towarzyszyli ich opiekunowie i wychowawcy. Podobnie jak Korczak poszli: Szymański z Domu Dziecka przy ulicy Wolność 14, Szymon Pullman, muzyk i dyrygent z żoną, na czele internatu dzieci religijnych, kierownik Goldkorn i cały personel pogotowia Opiekuńczego dla Żebrzących Dzieci Ulicy. Nie opuściła swoich maleństw Sara Janowska i inne opiekunki z niedawno założonego internatu Dobra Wola przy Dzielnej 67. Kwiecień to mur i wiersz – krzyk *Okno na tamtą stronę* Władysława Szlengela, i zryw powstańczy Żydowskiej Organizacji Bojowej, by «Zginać z honorem» jak głosiły liczne napisy na murach w Getcie w dniach zagłady.*

Bo obraz miasta u Baranowskiej w tym roku kosmicznym nie może ująć, wypaść ze swych ram w tym błyskawicznym skrócie, nie może nie pokazać patosu, dni klęski i chwały, ustawicznych strat niesionych przez historię i podnoszenia się ponownego,

– wciąż podniesionej głowy w chwilach najbardziej beznadziejnych. To właśnie w tym błyskawicznym skrócie 350-ciu lat rysuje się jeszcze wyraźniej. Nie może to być inny obraz, od tego, o którym na innym miejscu pisał Stefan Kisielewski – w *Cieniach w pieczarze*: – „Wszak jeśli od 1939 roku dzieje się w tym mieście nie wiedzieć co, jeśli wyznaczyły sobie tu spotkanie wszystkie szaleństwa (...) Wschodu i Zachodu (...)” To tu „zawsze szybciej rozumiano okrutne i szalone dylematy świata niż rozumiał je sam świat, tu zawczasu rozszyfrowano Stalina, Hitlera i innych wielkich a okrutnych magików historii. (...) Świat zachodni nigdy nie pojął, że to w tym miejscu właśnie w Warszawie, wszystko się z góry wie, toteż nigdy z tej wiedzy nie skorzystał. (...) Dzięki omyłkom własnym czy cudzym, światowym, zdarzały się tu rzeczy jakich nie było nigdzie i nigdy. Warszawa wszakże samotnie a wbrew logice opierała się nieraz nawałom Wschodu i Zachodu (przedmurze obrotowe!) (...) strajkiem bezludnego milczenia powitała defiladę zwycięskich wojsk Hitlera, tutaj wymordowano największą w historii ilość Żydów, tu bowiem stworzyli Niemcy straszliwie stłoczone, 600 tysięczne getto, tu jesienią 1944 walczone samotnie na dwa fronty: politycznie z Rosją, pierś w pierś zaś z przygłupimi bijącymi się o swą pełniejszą klęskę Szkopami, tutaj po upadku Powstania, zdarzył się jedyny na świecie wypadek, że wszyscy mieszkańcy wypędzeni, wyszli poza rogatki a miasto pozostało samo sobie i swoim pożarom.”

W Warszawie. Miesiącach, latach, wiekach, Baranowska odbudowuje obraz miasta na przekór owym szaleństwom, pokazując jego piękno przez skupienie uwagi na rzeczach małych, zwyczajnych. Piękno zatrzymane w szczegółach, zmieniającym się języku, obyczajach, strojach, wyglądach tego miasta. Rzeczy małe, zwyczajne stale tu sąsiadują z wydarzeniami znanymi z wielkiej historii. Bo Maj to nie tylko majówki, festyny na Bielanych, ale i Konstytucja 3 maja. A w Marcu nie mniej ważnym od Zamku i zapisanych w jego wnętrzu obrazów wielkiej historii jest... tramwaj i wnętrze tramwaju. Bo opuszczając Zamek, jak pisze autorka *gdybyśmy jeszcze obejrżeli się (...) powiedzmy w pierwszej połowie 1908 r., co byśmy zobaczyli? Tramwaj! Pierwszy czerwony elektryczny tramwaj. Zakręca na naszych oczach z Miodowej w Krakowskie Przedmieście. Linią 3 – otwartą 23 marca 1908 r. – łączy z pl. Krasińskich na pl. Unii Lubelskiej. I tutaj następują informacje o liczbach przewiezionych pasażerów, (27,5 mln w 1908 r. i 86 mln w 1914), trasach podzielonych na sekcje, cenach biletów za kurs w zależności od klasy, dla dorosłych, i dzieci (bilet za 1 kurs daje prawo do przejechania 4 sekcji), i właśnie opis wnętrza: *Sądząc z ilości pasażerów żaden warszawiak, posiadający choć parę kopiejek nie mógł się oprzeć tramwajowi. Gdybyśmy także się nie oparli i wsiadli do wagonu na 40 miejsc, w tym 24 siedzące, zdziwiłoby nas zapewne starannie wykonane drewniane wnętrze – jawor, drewno tekowe, mahoń, dąb. Czuliśmy się nieco jak w solidnym kredensie. Właśnie solidność, świetna organizacja i punktualność przyniosły warszawskim tramwajom opinię jednego z najlepszych na świecie przedsiębiorstw komunikacyjnych. (...) Tak ale dokąd jedziemy, skoro jest dwadzieścia linii, nie zdążymy ich nawet wymienić, więc przynajmniej zobaczymy, którą jeździ jedyńska: «Linia No 1. Mokotów–Powązki. Liczy 8 sekcji: 1/Powązki-Błońska. 2/Błońska-Muranów. 3/Muranów-Pl. Krasińskich. 4/Pl. Krasińskich-Mickiewicz. 5/Mickiewicz-Warecka. 6/Warecka-Pl. św. Aleksandra. 7/Pl. św. Aleksandra-Nowowiejska. 8/Nowowiejska-Mokotów. (...) Wagon kursuje co 8 minut, przebiegając przestrzeń 7600 m. w minut 37. I pomyśleć, że bilet za jeden kurs skończyłby się na przystanku „Mickiewicz”. O ile byłoby lepiej, gdyby miejsca i daty wyznaczali ludzkości poeci i ich wiersze. Niestety, czas, jak wszyscy wiedzą, liczą ludzie przeważnie za pomocą zegara.**

W Warszawie. Miesiącach, latach, wiekach pośród zgromadzonej w niej wielości czasów, przywracając przed nasze oczy jej piękno, autorka szczególną wagę zda się przywiązywać do

rytmu wyznaczanego przez opisywane przez nią z pieczołowitością – podobną jak w przypadku wnętrza tramwaju – przedmioty, miejsca, i rzeczy z pozoru dla miasta zwyczajne. W opowieści Małgorzaty Baranowskiej o Warszawie czas miasta odmierzają nie tylko zegary i zegarki (z dewizką), ale i powozy, karety, „ropuchy”: omnibusy konne na szynach, tramwaje, wąskotorowe kolejki dojazdowe – ciuchcie, takśówki, ryksze, pojawiające się w mieście kolejne wynalazki, że wspomnę tylko późniejsze, balon, dagerotyp, fonograf, „teatr żywych fotografii” – kinematograf, pocztówki, radio, samolot. Z tej książki można dowiedzieć się mnóstwa szczegółowych rzeczy np. od kiedy zaczęto w Warszawie numerować domy.

Czas i rytm miasta odmierzany jest opisem tego jak pojawiają się różne urządzenia i rozwiązania techniczne, opisane są tu różne rodzaje oświetlenia, bruki, źródła, źródła, wodociągi, filtry, mosty, ogrody (Saski, Pomologiczny, Botaniczny, Powązkowski, Dolina Szwajcarska), pawilony wystawowe, tereny rekreacyjne, sport, (łyżwy, rowery), ale też i moda, wystawy, pokazy, koncerty, warszawskie salony, teatry, restauracje, kawiarnie, cukiernie, szkoły, szpitale, straż pożarna, fabryki, prasa, wydawnictwa, instytucje bez których nie sposób opisać krajobrazu i funkcjonowania miasta, tego miasta... No i związane z tym wszystkim, domy, miejsca, ulice, ulice, ulice, rozrastające się trakty, osie, wędrujące centra, zaczątki, charakterystyczne dzielnice, dzielnice.

Jak pisze autorka: *My, starając się ogarnąć całe wieki warszawskich widoków w błyskawicznym skrócie, mamy sprzymierzeńców w malarzach i pisarzach, którzy dodają do owych widoków swoją wyobraźnię.*

Gdy jednak przyjdzie wejść, jak w przypadku Prusa, w jego fantazje, marzenia o przyszłych kształtach miasta, zaraz dodaje i podkreśla *Chcielibyśmy się znaleźć w fantazjach pisarzy. Ale sama żywa Warszawa jest stokroć ciekawsza.* I temu przekonaniu daje wyraz cała jej książka. Bo bohaterami tej książki są nie tylko widoki i widoki miasta, a przede wszystkim związani z tymi domami, ulicami, instytucjami, miejscami – ludzie. Ludzie różnych stanów od króla po szewca i przekupkę. Ludzie różnych zawodów i zajęć, rzemieślnicy, architekci, inżynierowie, robotnicy, tramwajarze, urzędnicy, strażacy, lekarze, nauczyciele, nauczyciele muzyki, artyści, aktorzy, muzycy, cyrkowcy, atleci, sportowcy, uczniowie, studenci, wędrowni sprzedawcy, wydawcy, dziennikarze, gazeciarze, bibliotekarze, historycy, historycy sztuki, pisarze. Ich życie, praca, marzenia. – Oto pełna architektura tej opowieści Małgorzaty Baranowskiej o Warszawie. Powiedziałbym więcej, w jej opowieści, da się odczuć (takie przynajmniej jest moje odczucie, być może się mylę) jakby szczególną sympatię po stronie tych zwykłych ludzi. Jakby lęk i stała ucieczka przed patosem. Zwykli ludzie, zwyczajność rzeczy, szczególna uwaga dla sfery, obszarów codziennego życia. Oto swoista antropologia i etnografia miasta Małgorzaty Baranowskiej: w miesiącach, latach, epokach, odtworzył obraz codziennego życia. Los zbiorowy pokazany przez losy konkretnych biografii, osób. To rys znamieny tej książki. Szczególnie mocno dochodzący do głosu w dramatycznych, tragicznych okresach historii tego miasta. Ale nie tylko. Ta książka ma w sobie coś z ducha wiersza Zbigniewa Herberta *Pan Cogito o potrzebie ścisłości*: „Musimy zatem wiedzieć, policzyć dokładnie, zawołać po imieniu.” I w Warszawie. Miesiącach, latach, wiekach Małgorzata Baranowska przywołuje z imienia i nazwiska nie tylko pisarzy, artystów ale tych zwykłych, zwyczajnych ludzi, inżynierów, robotników, ludzi różnych zawodów. I nie tylko dotyczy to okresu powstania, gdy na samym jego początku przywołuje postać 14 letniej harcerki, łączniczki Janiny Tatkiewicz (pseudonim Myszką), byśmy mogli spojrzeć na pierwsze godziny powstania jej oczyma, czy też, gdy opisując zaciętą walkę toczoną przez pracowników elektrowni na Powiślu, podaje słowa pieśni – hymnu walczącej elektrowni, ułożone do melodii *Maszerują strzelcy, maszerują* i tak pisze: *Autor tych słów jest nieznany, ale może się jeszcze*

zdarzyć, iż jego nazwisko się odnajdzie. Ta zasada, ten rys znamieny dochodzi do głosu także i w bardziej odległych czy spokojnych czasach, gdy np. przywołani zostają: Bronisław Dziubek, robotnik od Lilpopa (ur.1886), opisujący Powiśle w czasach jego dzieciństwa, czy Władzio – chłopiec do gazet, w kawiarni Udziatowa, księgarz i drukarz u Mortkowicza Władysław Grzelak, który przedtem jako jedenastoletni chłopiec stróżował w prywatnym sadzie przekrojonym i pochłoniętym przez wiadukt trzeciego mostu, Mostu Poniatowskiego, czego potem nie mógł on nigdy przeboleć. Bo sprzymierzeńcami Małgorzaty Baranowskiej w tej książce są nie tylko malarze i pisarze, ale i ci ludzie zwyczajni, zwykli mieszkańcy tego miasta. W tej książce zbliżamy się do Warszawy nie tylko z wędrującym i wchodzącym do niej pewnego jesiennego poranka, pieszo, od strony Pragi Wiktorem Gomulickim, z Juliuszem Słowackim zimową porą mknącym w saniach przez Nowy Świat, Władysławem Podkowińskim (miłośnikiem i pejzażystą Warszawy, mającym na Nowym Świecie swą pracownię, autorem niezapomnianego obrazu tej ulicy, przedstawiającego ją w letni dzień), z Franciszkiem Salezjem Jezerskim, kawalerem de Jaucourt, autorami XVIII wiecznych, encyklopedycznych opisów Warszawy, z Kazimierzem Władysławem Wójcickim (i z jego *Pamiętnikami dziecka Warszawy*) Antonim Magierem (autorem pracy *Estetyka miasta stołecznego Warszawy 1833*) i z setką innych. Ale i z nimi. – Paradoksalna książka. – Pokazać zwyczajne rzeczy, zwyczajnych ludzi, zwykłych, mieszkańców tego miasta, odtworzyć ich i jego codzienne życie, odtworzyć życie. Oto jeszcze jeden wymiar wielogłosowości, polifoniczności z jaką przemawia ta książka. Jest bowiem w tym jakiś paradoks, że w tej ciągłej ucieczce przed patosem, koncentrując się w swoich opisach na zwyczajnych rzeczach, zwyczajnych ludziach, zwykłych mieszkańcach tego miasta ... – ich zwyczajność, za sprawą tego, że jednocześnie patrzymy na to wszystko z punktu widzenia Jesu tego miasta, do którego zmierza, i od którego bierze swój początek ta o nim opowieść, ta zwyczajność właśnie, jawi się jako niezwykła, heroiczna, patetyczna.

W Warszawie. *Miesiącach, latach, wiekach* Małgorzata Baranowska odkrywa przed nami i ustala za sprawą przyjętej przez nią cezury (powstanie, zniszczenie miasta, rok 1945) właściwy dla Warszawy archimedesowy środek ciężenia i punkt oparcia, swoisty, niepowtarzalny wzór dla opisanego tego miasta. (I śmiało można by tu powtórzyć za Archimedesem jego wołanie, tak, jak zda się mówić o tym na każdej swojej stronie ta książka: „Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię!”) Bo w tym ogromnym skrócie, 350-ciu lat, na które spoglądamy z tej perspektywy i z tego punktu widzenia, wszystko, co najbardziej w nich zwykle, zwyczajne jawi się tu, i musi się jawić jako niezwykle, poruszające, heroiczne, i nie bójmy się tego słowa: patetyczne. Nawet i to: most, ludzie na moście, istnienie Towarzystwa Wioślarzy, wianki i łódka z wioślarzami płynące po Wiśle.

Do tajemnicy przyjętego przez Małgorzatę Baranowską w tej książce punktu oparcia należy rzecz jeszcze jedna. Celowo tę grupę najliczniejszych sprzymierzeńców autorki i najczęściej bodaj przywoływanych tu przez nią, zostawiłem na koniec. To poeci i poezja.

Bo mimo wojen i znanych przyzwyczajęń ludzkości czas w tej książce mierzony i liczony jest także przy ich pomocy, ich w tej książce stała obecnością się zaznacza. W Warszawie. *Miesiącach, latach, wiekach* realizuje się coś z tego marzenia by to oni wyznaczyli i ich wiersze: daty i miejsca. Każdy rozdział – miesiąc otwiera tu motto wiersza. Przypomnijmy choćby tylko te trzy: Jarosław Iwaszkiewicz w *Lutym*: *Rozstąpcie się, o domy, rozjeżdźcie tramwaje, / Przez trzeciomostu wiadukt przejrzyście i miodny. W Kwietniu*: – te cztery słowa z Baczyńskiego *O miasto, miasto – Jeruzalem żalu...* – w *Październiku*: *Lechoń – I widzi jakichś jeźdźców w tumanach kurzawy, / I słyszy dźwięk mazurki i tłumu wołanie, / Dąbrowski z ziemi włoskiej wraca do*

Warszawy! „Czy warto?” ...Odpowiedział: „Ach śmieszne pytanie!”

Wędrując z Małgorzatą Baranowską przez miesiące, lata, wieki po Warszawie wkraczamy wraz z jej sprzymierzeńcami w zaskakującą wielogłosowość czasów, miejsc, jakimi przemawia dzięki niej, jej przewodnictwu, do nas to miasto. Tą książką autorka otwiera przed nami jakby Zaczarowaną Furtkę do tego miasta. Za nią spotykając się z wielością tych głosów, wsłuchując się w ten chór głosów, czujemy, że prowadzeni jesteśmy i wkraczamy w złożoną symfonię miasta, jakiej nie znaleźliśmy i jeszcze nie słyszeli. Chciałbym tu zwrócić uwagę na szczegół powiedziałby ktoś, że natury tylko technicznej. – W tej książce wszędzie tam, gdzie przywołany jest czyjś głos, od razu w tekście podana jest pełna informacja o autorze i źródle. To trochę tak jakby prowadząca nas w tej wędrówce przez miasto i jego ulice autorka chciała powiedzieć: „My niestety musimy tu już skręcić, patrzcie, wy znając źródła możecie tu jeszcze wrócić do nich potem, słuchajcie ich, trzymajcie się tych znaków i głosów, idźcie za nimi dalej.”

Warszawa. *Miesiące, lata, wieki* to rodzaj mapy, polifonicznej mapy, na której zaznaczono cały system kolejnych furtek, prowadzących nas do tajemnic Warszawy. To dzieło niezamknięte. Rodzaj partytury, szkicu partytury – jakby mówiła autorka – do utworu, który jest wciąż przed nami. To dzieło otwarte.

I rzecz zupełnie już przedziwna. W tej książce wszędzie prowadzeni jesteśmy na czas. Szczególnie da się to mocno odczuć na przykładzie Łazienek. Przez cały prawie rok krążymy z dala od nich, czasem pojawiają się tu i ówdzie jak w maju za sprawą bzu i fotografii, czy też w „muzycznym” liście E.T.A. Hoffmana, który przebywał tu jako urzędnik pruski i który w Warszawie debiutował jako muzyk. Liście, w którym opisuje on jak to swoisty koncert, zgłęb odgłosów dobiegających z ulicy uniemożliwił mu komponowanie: *Cisnąłem pióro, papier w kąt – wciągnąłem buty i wybiegłem z tego piekielnego zgietku, kierując się przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat w dół miasta!*

Wnet święty gaj objął mnie swoim cieniem – znalazłem się w Łazienkach! Uroczy pałac, niby dziewczęcy labędz, pływa tam po łńicznym jak lustro stawie [...] Oto rezydencja uprzejmego epikurejczyka! [...] Pytasz mnie drogi przyjacielu, jak mi się powodzi w Warszawie? To kolorowy świat! – za hałaśliwy – za szalony – za dziki – wszystko bez ładu i składu. Gdzież tu znajdę spokojną chwilę do pisania – rysowania – komponowania?! Król powinien mi odstąpić Łazienki: tam na pewno żyje się bardzo łagodnie!

Ale tak naprawdę zbliżać się zaczniemy do Łazienek i wejdziemy tam dopiero na początku Października, w którym Łazienki przybierają najpiękniejszą barwę, a wszystko po to, żeby móc znaleźć się w nich na dobre o właściwej porze, dotrzeć tam na czas: w Listopadzie 1830 roku... I znaleźć tam wypowiedź z 1948 roku autorstwa znanego nam, już z czasów późniejszych, politycznego sceptyka. To jeszcze jeden przykład jak w tej książce spletają się tajemniczo rytmy i wątki, rytm wędrówek po Warszawie, z rytmem klimatu, pór roku, historii. Niech więc posłuży nam tu za pointę tej pobieżnej jej prezentacji:

W wypowiedzi pisarza-powstańca z roku 1944, Stefana Kisielewskiego (1911 – 1991), który przeżył tu całą wojnę, symboliczne miejsca z czasów powstania listopadowego, z dramatów Wyspiańskiego, nakładają się na symboliczne miejsca bliskie warszawiakom, uczestnikom wojny 1939 r. i powstania 1944. Oto fragment odpowiedzi Kisielewskiego na ankietę *«Kalendarza Warszawskiego»* z roku 1948 Dlaczego właśnie Warszawa: „Dzisiaj przestałem ukrywać adorację, jaką żywię dla miasta lat dziecińczych, dla «stolicy swej młodości». Bowiem, jako jeden z miliona warszawiaków, przeżyłem te dni patetyczne i straszliwe, dzięki którym Warszawa przestała być tylko jednym z szeregu polskich miast, lecz stała się symbolem

całego Narodu, a sprawy tego miasta chwyciły coś z powiewu wieczności, który niesie na swych skrzydłach losy Narodu. Aleje Ujazdowskie i Łazienki – to nie są już tylko zielone zakątki, gdzie spędziłem dzieciństwo ja i moi rówieśnicy – to pełna pamiątek promenada całej Polski, to miejsce schadzek duchów naszej historii, jak to z genialną wrażliwością odczuł Wyspiański, choć spędził w Warszawie parę tygodni swego życia zaledwie. A Krakowskie Przedmieście, plac Saski, gruzi Starego Miasta – to nie tylko zbiorowisko potrzaskanych, starych kamienic, pałaców, kościołów i pomników – to plac boju ogromnego, gdzie o każdy dom walczone, to polski Panteon, to najbardziej patetyczny krajobraz polski. Krucza, Piękna, Marszałkowska, Wolska – nie są już tylko ulicami, Wisła nie jest tylko Wisłą, park nie jest tylko parkiem.”

Od 1989 roku kiedy wybuchła wolność, ożyła działalność wielu lokalnych środowisk i inicjatyw wydawniczych – ożywił się ruch, mający nawet swój wyraz w specjalnym programie rozwijanym przez Fundację Kultury – ruch „Małych ojczyzn”. Książka Małgorzaty Baranowskiej wpisuje się w znamienity sposób w ten nurt, wnosząc weń zasadniczy zwrot i przewartościowanie. Dokonuje w nim zasadniczego przełomu. Być może także przełomu w naszym myśleniu i przyzwyczajeniach sytuujących, czy rozpoznających fenomen małych ojczyzn przede wszystkim z dala od centrum i w przeciwstawieniu do centrum. Pokazuje jak wielkie miasto, stolica może być małą ojczyzną, a nawet mieścić w sobie wiele małych ojczyzn. Najlepiej zresztą mówi o tym wiersz przywołany przez autorkę w Warszawie. *Miesiącach latach wiekach*, fragment wiersza Andrzeja Nowickiego (1901 – 1986), poety związanego z grupą Skamandra, wiersz napisany został z dala od Warszawy w niewoli niemieckiej, po kampanii wrześniowej w 1939 r., w oflagu C II w Woldenbergu:

Gdy o ojczyźnie mojej myślę –
Myślę Aleje...Zjazd...Powiśle
Tobie Ojczyznę – wioska, ruczaj,
Mnie – Mokotowska, Bracka, Krucza...

Nie las, nie łąka, nie tan zboża,
A Krzywe Koło, Wspólna, Hoża...
I kiedy bierze mnie tęsknota,
To myślę: Chmielna...marzę: Złota

Jednocześnie ta książka pokazuje dobitnie jak bardzo ta mała ojczyzna, Warszawa, w istocie i gruncie rzeczy jest Wielką ojczyzną. Ta książka odkrywa przed nami zupełnie nowy fenomen: Małej – Wielkiej Ojczyzny.

Czyż nie potwierdzają tego same okoliczności wydania tej książki? Autorka urodzona w Krakowie, inicjator wydania, wydawca – Wydawnictwo Dolnośląskie z Wrocławia. Książka o Warszawie oczekująca długo na to by mogła się ukazać, o którą aż dziwne, że nie pobiły się wydawnictwa warszawskie, na którą od dawna czekaliśmy, szczęśliwie właściwie została rozpoznana i znalazła swe odpowiednie miejsce – Jakby na potwierdzenie przywołanej w niej anegdoty:

Podobno, kiedy Blanchard w swym zadziwiającym urzędzeniu latającym – balonie – wziął na podniebną wycieczkę w roku 1790 hrabiego Jana Potockiego, ten zabrat ze sobą służącego Turka. Oszolomiony i zachwycony Turek, widząc Warszawę pod sobą, ale jej nie rozpoznając, spytał Blancharda, do kogo należy rozciągający się pod nimi ogród. I uzyskał odpowiedź – do Rzeczypospolitej.

Warszawa. *Miesiące, lata, wieki* ukazała się w znakomitej serii zaprojektowanej w tymże Wydawnictwie Dolnośląskim przez Andrzeja Adamusa i Jana Stolarczyka – A to Polska właśnie.

Mocną stroną tej serii (w której ukazały się m.in. Andrzeja Zawady *Dwudziestolecie literackie*, Jacka Kolbuszewskiego *Kresy*, Jacka Łukasiewicza, Mickiewicz) jest troska o przywrócenie świadomości współczesnego czytelnika (wypuszczonego pod tym względem przez lata socjalizmu i związanych z nim ogólnych trudności technicznych i edytorskich) utraconej

ikonosfery. Każdy temat i zagadnienie w tej serii zanurzone są w ikonograficznym konkrety, w bogactwie oryginalnych dokumentów ikonograficznych. Ta wizualna strona dokumentacji towarzyszącej tekstom jest w tej serii niezwykle starannie przygotowana i opracowana. Pod tym względem książka o Warszawie jest także pięknym ogrodem.

Odtwarzanie oryginalnej ikonografii (tak charakterystyczne dla całości tego projektu) zbiega się tu szczególnie silnie z intencją autorki: odtworzyć prawdziwy obraz Warszawy, to zarazem wydobyć go z ciężących nad nim do dziś stereotypów, niechęci wobec tego miasta ukształtowanej przez lata PRL-u, niechęci wynikającej z kojarzenia i postrzegania częstokroć Warszawy przez te lata, głównie, jako siedziby władzy i centralnych urzędów. (Jakże wielu skutecznie dało się zainfekować!). Książka Baranowskiej ma wielką szansę na odczarowanie tych stereotypów (miasta anonimowego, bez wyrazu, bez charakteru). Już teraz da się słyszeć: „Dzięki Baranowskiej, dzięki tej książce znowu zacząłem lubić to miasto”. Ta książka przywraca Warszawie jej właściwy wymiar, urok i czar.

A w zapowiedziach tego wydawnictwa już następną Małą-Wielką Ojczyzną: Kraków (*Kraków. Przewodnik historyczny*, Michała Rożka). Z niecierpliwością będę czekał na następne, wyobraźmy sobie: Gdańsk, Poznań, Wrocław, Łódź, Przemyśl, Białystok...

Bo książka Małgorzaty Baranowskiej (pierwsze miasto w tej serii) sytuuje się również „pomiędzy” i ma w sobie coś z ducha Iwaszkiewiczowskich *Podróż do Polski* i zrazu kojarzyć się może z pamiętnym spektaklem krakowskim *Z biegiem lat, z biegiem dni*, potem serialem filmowym Andrzeja Wajdy i Joanny Olczak-Ronikierowej. Nie sposób tu rozwijać podobieństw i różnic (w tym drugim przypadku bardziej może różnic, wynikających z innych rodzajów wykorzystanego materiału, źródeł, rytmu, skali czasowej), poza jednym ogólnym wspólnym ich rysem: Każda z tych prób w swoim czasie to próba uchwycenia ducha miejsca, odzyskiwania Polski. Dlatego więc, na koniec chciałbym już tylko tu jedynie zasygnalizować dwa zjawiska należące do wspólnej, toczącej się na naszych oczach historii z dziedziny Małych-Wielkich Ojczyzn. – Dwa nieregularne czasopisma jakie mi wpadły w ręce. Pierwsze z Krakowa: „Salwator i świat” („periodyk nieregularny”) i drugie z Warszawy: „KurWar” („nieregularny kwartalnik poświęcony kulturze miasta”). Można by w nich upatrywać odzwierciedlenia potocznie postrzeganych tradycyjnych różnic, (w tym także wzajemnych stereotypów) dzielących oba miasta i pozwalających się im pięknie różnić. Nie mając jednak już miejsca, pełniejszą prezentację i głębszą analizę trzeba odłożyć na inną okazję. Tymbardziej, że dysponuję zaledwie częścią krakowskich numerów (od 16 do 22). Tak więc tylko dla zachęty garść informacji w telegraficznym skrócie. Zaczniemy od pisma Małej-Wielkiej Ojczyzny spod Kopca:

Pismo już znane, uznane, zasłużone – (w redakcji Joanna Olczak-Ronikierowa – „matka redakcji”) i zakorzenione, zasięgiem, obchodziło jubileusze (4 lata), kręcono o nim filmy, zawiera „Okruchy rzeczywistości” – stałą towarzyszącą rubrykę (trochę przypominającą echo „Echa Piwnicy pod Baranami”, rauty, przyjęcia, kolacje, jubileusze, wydarzenia artystyczne, wystawy, teatry, spektakle, recenzje), sporo wędrówek w przeszłość, wspomnień z dzieciństwa, *O smakach i zapachach dzieciństwa* (*Pachnące chlebem dzieciinne raje* – Bożena Ołfinowska) i z jeszcze mniejszych ojczyzn *O Tarasówce* (Anna Środoń), pismo rodzinne, salonowe, piszą także dzieci, dla nich konkursy literackie. Główną założoną funkcją „S i Ś” jest pisanie o tym, czego chcieliby się dowiedzieć mieszkańcy Wzgórza i o czym pragnęliby ze sobą rozmawiać, gdyby mieli więcej czasu i sposobności. Wspomnienia o pięknych i barwnych postaciach. Pismo dla przyjaciół, w tym też rozsianych po świecie (sporo korespondencji tychże ze świata) i dla przyjaciół ze świata spacerujących po Krakowie, Salwatorze i Łasku Wolskim. O podróżach, hotelach, i *O tym gdzie w Paryżu jest*

Paryż (Katarzyna Zimmerer). Tak więc w tej migawce, teraz już tylko, co mi się szczególnie podoba: *Kraków jest snem* (Jerzy Pomorski) – jeśli nie przekraczam tytułu, bo periodyki nieregularne mają to do siebie, że lubią zniknąć spod ręki, kiedy są potrzebne, być może: *Czy Kraków jest snem?* – O wpływie klimatu na senny, oniryczny charakter Krakowa. Pisanie Kazimierza Wiśniaka *Cuda, dziwy i teatry magiczne*, o tychże oglądanych w Paryżu i Chorzowie, o tajemnicach przedmiotów, szafie i adaptacji tychże do scenografii teatralnych. W ogóle dużo dobrych tekstów o teatrze. (m.in. o Kantorze wokół „*Tańczyli na moście wiek cały*” / Stanisław Mateusz Gąsiorowski/). Pismo bogato ilustrowane rysunkami Kazimierza Wiśniaka, na ostatniej stronie tegoż autora *Spacery po Salwatorze z olówkiem i szkiełkiem*. Format A4. Pismo wielopokoleniowe – *Występowanie Kasi, matki redakcji i córki redakcji ma zwrócić uwagę, że jesteśmy pismem wielopokoleniowym. (...) Obecność w zespole pań czyni pytanie o nasz wiek niewłaściwym*. Ostatni numer 22 wydanie specjalne, z okazji umownej rocznicy przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy sprzedawano w Warszawie za 2 zł. – *Ale przede wszystkim rozbawiło nas to morze znalezionych przy okazji drugorzędnych i trzeciorzędnych wiadomości o epoce, tych barwnych szczegółów, pomijanych w suchych jak pieprz podręcznikach historycznych, a tak pobudzających wyobraźnię*. – piszą autorki we wstępie do numeru.

W przeciwieństwie do „S i Ś”, warszawski „KurWar” to pismo świeże, dopiero co założone, młode. Wydano dotychczas 2 numery. Założycielem, wydawcą, redaktorem jest Jarosław Jot – Drużycki (1971) studiuje etnologię na UW. Publikował w „Kapitałście Powszechnym”, „Życiu Codziennym” i w „Res Publice Nowej”. To pismo wyraźnie jednopokoleniowe, piszący – roczniki od 1971 do 1965. „KurWar” jest niezależną inicjatywą studentów UW (różne fakultety: antropologowie kultury, historycy, historycy sztuki, architekci, graficy, poeci, wielu publikowało w różnych pismach swe teksty, każdy numer opatrzony notami o autorach). Format 2x większy, A3, na luźnych kartach. – *Jestem z Miasta. Droga, którą podążam, od dzieciństwa, wiedzę do Miasta, przez Miasto i z Miasta*.

(...) *To nieważne czy prowadzi mnie wśród murów przebudowanej Warszawy, synkretycznej Rygi, imperjalnego Petersburga, czy bajkowej Pragi Czeskiej...* ... Anka-olsztynianka – uważa, że *duch Warszawy przeniknięty jest chorobliwą atmosferą „Reisefiber” – dwumiljonowy Dworzec Centralny, walizy, czemodany, a na nich przycupnięty tłum oczekujących na swe pociągi pasażerów. Przyjechali, żeby wyjechać. Opozycję dla tego podniecenia stanowi Kraków, który jawi się mojej znajomej, jako umeblowany pokój, z dobrze zaopatrzoną biblioteką i portretami antenatów dobrotliwie spoglądających ze ścian. Salon, gdzie można wreszcie rozpakować kufry, zasiąść w fotelu i swobodnie zapalić papierosa. Jednakże poranna filiżanka kawy po wiedeńsku z powrotem wywołuje marzenia o ekskursji. Dotarłem... Nie! ja staram się iść w dobrym kierunku. Kaprysowi XIX stulecia zawdzięczam swoje obecne przechadzki ulicami, z których nie przebrzmiały jeszcze nawoływania „leguralnych majdaniarzy” Międzywojnia; «Kur warszawski! Kurwar dzisiejszy za dziesięć groo!», zachęcające przechodniów do kupna niezbędnego rekwizytu, symbolu minionej Warszawy – «Kurjera Warszawskiego»; a mnie do podjęcia – wspólnie z przyjaciółmi – próby odszukania Miasta, spojrzenia na jego fenomen z różnych perspektyw, mając do dyspozycji stronie „Kurwara”. (Moje trzy grosze wstępu Jarosław J. Drużycki). W numerach m. in. Wsiewołod Milman, poeta,*

Moskwićzanin, studiuje religioznawstwo na ATK, od 1991 mieszka w Warszawie, i jego *Warszawa po rusku* – dużo ciekawych obserwacji o Warszawie, tekst poetycki z refrenem o innych miastach. *Warszawa jest miastem bez zegarów, które sytuują człowieka w przestrzeni, służąc za miejsca spotkań we wszystkich miastach. W Paryżu. W Kijowie. W Brukseli. W Sztokholmie (nigdy nie byłem w Sztokholmie). Warszawa jest miastem bez metra...* W Warszawie metro jedzie do lasu. Marcin Wicha, *Palimpsest* o niezrealizowanych planach architektonicznych w Warszawie. Łukasz Gorczyca, *Pięknie nieznajome* – *Kamienica*, o architekturze, o modernizmie, socmodernizmie, postmodernizmie i prostej potrzebie nowego. Marcin Szporko *Koło graffiti wojny*, o wojnie graffiti toczącej się w Warszawie. Andrzej Perzanowski, *Wariat zatracony*, o szaleńcach. Marcin Wicha, *O obcych miastach*. Bartosz Gomółka, *Jakem się sponił czyli ze wsi do miast*. Maciej Mieźian (krakowiak zakochany na zabój w Warszawie, *Warszawa krakowskim targiem*: – *Gdy więc już nie mogę patrzeć na wieże mariackie i cały ten galicyjsko-wiedeński blichtr mojego rodzinnego miasta wsiadam do pociągu relacji Kraków Główny - Warszawa Wschodnia, by znów ujrzeć rodzinne miasto Osipa Mandelsztama i głównodowodzącego armii amerykańskiej – gen. Szalikaszwili...*) A gdy mi jakiś nacjonalista małopolski mówi coś o Warszawie, zawsze przypomina mi się list Lenina, który zachwycony Krakowem pisał – *«Baby chodzą tu boso i ubierają się pstrokato. Dobrze nam tu jak w Rosji...»* Łukasz Włoski, *Brama*, o bramach miasta, bramach triumfalnych. Joanna Sarnecka *Rejs sponsorowany przez Bogów*, o reklamie i opowiadanie, bez tytułu, o podróżach i włóczeniu się po mieście autobusem. W *moimskim tłumie* – kończy swój wstęp Jarosław J. Drużycki – *łatwo się ukryć, ciężko jednak odnaleźć w nim swoje miejsce. Czy każdy z nas nosi w sobie Miasto? Miasto – labirynt, przez który trzeba przejść, aby odkryć siebie*.

Wiele razy usiłowałem namówić studentów (UW i UJ) do napisania pracy o wzajemnych stereotypach na temat Warszawy i Krakowa, jak dotąd bezskutecznie. I chociaż oba pisma mogłyby dostarczyć wiele materiału (a może otworzyłyby odpowiednie rubryki?), dziś znacznie bardziej interesująco wygląda temat łączących te miasta tajemnic. Sprawa odśzukiwania własnego miasta (które oba pisma uprawiają), wchodzenia w nie, czasem borykania się z nim, a także tajemnica przybywania do nich, przenosin i wpisywania się w ich historię. No chociażby to, że urodzona w Krakowie Małgorzata Baranowska pisze tak wspólną książkę o Warszawie, Piotr Skrzyński urodzony w Warszawie odnalazł się w Krakowie i dla nas Kraków. Tajemnica związków łączących Warszawę z kopcem wspomnień.

Dzięki tym pismom, „manjakom” własnych Małych-Wielkich Ojczyzn, oto na naszych oczach zapisuje się historia obu miast in statu nascendi, gromadzi żywy, barwny materiał, po który, być może kiedyś, w dalekiej przyszłości sięgnie ktoś po latach, by wywołać nasze duchy wpisujące się w geniusz miejsca.

W poprzednim numerze: – *Paryż za dwa Ludwiki, Przewodnik po Paryżu cieni i smaków, Wenecja jest kobietą. Rzecz o wyobraźni. Miasto, Kresy zachodnie – genius loci*. W tym: – *Środek świata w Lublinie i Brama w Lublinie*. Nowy Jork Sześć godzin temu. *Warszawa. Miesiące, lata, wieki*. „Salwator i Świat”, „KurWar”. Kraków i Warszawa. Pora zabierać się do przygotowania dawno zaplanowanych, kolejnych numerów „Kontekstów” o *Historii i antropologii*, o mieście, miastach mitycznych, micie miasta, o *Antropologii miasta*.

BIBLIOGRAFIA

Małgorzata Baranowska *Warszawa. Miesiące lata, wieki*. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996, ss.356, il. 600, Wybór ilustracji Marta Zielińska
„Salwator i Świat”, periodyk nieregularny, Kraków ISSN 1234-7418
Redakcja: Katarzyna Zimmerer, Alina Kwiatkowska, Alina Pomorska,

Joanna Ronikier, Joanna Woźniak-Nowak, Rysunki: Kazimierz Wiśniak. Adres Redakcji: Kraków, ul. Gontyna 9/1
„KurWar”, Nieregularny kwartalnik poświęcony kulturze Miasta. ISSN 1234 – 7426 Adres do korespondencji: Jarosław Jot-Drużycki, ul. Daleka 1/3 m.4 Warszawa 65.

Dariusz Czaja

Twarze, twarze, twarze...

J. Baczak, *Zapiski z nocnych dyżurów*, rysunki J. Baczak, posłowie J. Błński, „Znak”, Kraków 1995

Jest coś znamiennego w dokonującym się w ostatnich latach, wyraźnym zwrocie szeroko pojętej humanistyki w stronę problemów ciała i cielesności. Przez wiele lat niezauważane i – jakby maksyma Terencjusza przestała już obowiązywać – nie znajdujące szczególnego uznania u przeduchowionych uczonych mężów – ciało, coraz częściej staje się obiektem badawczej eksploracji. Od pewnego czasu człowiek filozofów, socjologów, antropologów, teologów przestał być już czystą podmiotowością, „ja” transcendentalnym, strukturą umysłu, mentalnością, eteryczną duszą i zaczął z wolna acz konsekwentnie nabierać ciała. Oczywiście, zwiastuny tej sytuacji, pojedyncze książki i artykuły, pojawiały się już wcześniej, ale odnieść można wrażenie jakby dopiero od niedawna humanistyka zajęła się ciałem poważnie, wnikliwie i na większą skalę. A więc jednak: „mam ciało”!

Czytając niezwykłą książkę Jacka Baczaka *Zapiski z nocnych dyżurów* mimowolnie przywoływałem w pamięci te właśnie, wydane u nas w ostatnim czasie, rozprawy i eseje, w których ciało nie jest traktowane jako zbędny dodatek do naszego „ja”, jego drugorzędna „część”, ale pojmowane jest jako *materia prima*. Myślałem o *Pustelnikach i demonach* Ryszarda Przybylskiego i jego gwałtownym sporze z anachorecką tradycją cielesnej ascezy, o *Bogu w stworzeniu* Jürgena Moltmana i zaproponowanej tam teologii ciała odwołującej się do hebrajskiego doświadczenia cielesności, o *Szczelinach istnienia* Jolanty Brach-Czajny i jej eseju o ciele pojmowanym w kategoriach miśności, o *Ciele i przemocy w obliczu ponowoczesności* Zygmunta Baumana i analizowanej tam sytuacji „ciała w stanie obłądzenia”, o Małgorzaty Baranowskiej *To jest wasze życie*. To tylko ważniejsze tytuły...

Bo książka Baczaka – świadomie wybieram jeden tylko motyw z niedługiego, ale bogatego tekstu – to dla mnie przede wszystkim „rozprawa” o naszej cielesnej kondycji widzianej ze szczególnego punktu obserwacyjnego. Nie jest to, oczywiście, praca naukowa. Przeciwnie: to rzecz z antypodów naukowości. To książka gatunkowo „nieczysta”, książka – hybryda: ni to reportaż, ni to dziennik, ni to proza, ni to dokument, ni to wyznanie. *Zapiski* są tym wszystkim po trosze. Nie znaczy, że nie mają przez to walorów poznawczych. Mają wagę świadectwa. Są zapisem inicjacji w umieranie i śmierć. W ciało chore, umierające, martwe.

Jacek Baczak jest malarzem, artystą, który z bliżej nie wyjawionych powodów zatrudnia się jako pielęgniarz w domu dla nieuleczalnie chorych. W szpitalu. W umieralni. Zgodnie z fragmentem motto wziętego z Miłosza „Będziesz służył / nosząc, obmywając, sprząając”, Baczak nosi, obmywa, sprząta, pomaga chorym w dziesiątkach czynności, których nie są w stanie wykonać. Jest z nimi do końca. W umieraniu i po śmierci, kiedy myje martwe ciała, kiedy pospiesznie szkicuje zastępy twarze, kiedy utrwała w tuszu te maski pośmiertne.

Niezwykłość i siła książki Baczaka jako antropologicznego świadectwa bierze się w pierwszym rzędzie z „inności” miejsca, które opisuje. Wprowadza nas bowiem autor w obręb świata, który współczesność usuwa z pola widzenia, którego się brzydzi, którego nie zna i znać nie chce. Pokazuje nam swoich niepięknych i już nie dwudziestoletnich w ich cierpiącej i umierającej cielesności: ze łzami, z potem, krwią i wydalaminami. Człowiek Baczaka to ponad wszelką wątpliwość *homo somaticus*.

„Nic nie zapowiadało jej nagłej śmierci.

Nocami krzyczała, w dzień drzemała, rozmawiała, jadła niewiele. Któregoś popołudnia prowadziłem ją powoli do ubikacji.

Posadziłem na sedesie i wyszedłem poczekać w przedsiönku. Siedziałem i myślałem o czymś, gdy usłyszałem gwałtowne wymioty. Zerwałem się i otworzyłem drzwi. Cofnąłem się ze zgrozą. Siedziała nieruchomo, pochylona mocno do przodu. Łaska leżała obok, w kałuży gęstej krwi, pełnej skrzepów. Cała posadzka, jej szlafrok, ręce i twarz pokryte były ciemnoczerwoną mazią. Nie żyła.”

Niektóre z obserwacji Baczaka każą zastanowić się i przemyśleć raz jeszcze znaczenie takich elementarnych kategorii z antropologii ciała jak choćby wstyd. Są bowiem, jak się okazuje, takie enklawy życia, w których pojęcie to nie ma zastosowania.

„Gdy podawałem i odbierałem baseny, podmywałem, zmieniałem mokre i brudne podkłady i prześcieradła na czyste i wymagłowane, układałem sparaliżowane nogi i ręce, powykęcane kikuty po amputacjach nie odczuwałem wstydu. I ci, którzy długo leżeli, też nie dawali go odczuć. Był to czymś obcym, z innego świata, niepotrzebnym i śmiesznym. Przynosili go tylko nowi pacjenci i nowy personel.”

W zamkniętej, izolowanej przestrzeni szpitala zmienia się też hierarchia tego co najbardziej swoje, intymne. Zmianie ulega zwyczajowo przyjęta i uznawana w świecie zdrowych, wydawać by się mogło: oczywista i nienaruszalna, lokalizacja sfery prywatnej i publicznej.

„I tylko przy jednej czynności odczuwałem najdłuższe zażenowanie. Gdy myłem i czyściłem szczoteczką z resztek jedzenia sztuczne szczęki i wsadzałem z powrotem do kubków z wodą. Ten, kto o to prosił, najczęściej przywiązany na stałe do łóżka, też był zażenowany. I obydwójce czuliśmy dziwny i paradoksalny fakt, że oto jest naruszona intymność. Intymność jedzenia i przeżuwania, polykania. Intymność posiłku.

Ostatni azyl prywatności.

Wśród pejzażu nagiej i bezbronnej, schorowanej starości.”

Swoją esej o *Locie nad kukulczym gniazdem* i sportretowanej tam zamkniętej przestrzeni szpitala, rozpoczyna Jan Białostocki znamienne: „Twarze, twarze, twarze... Pełne łęku, skurczone cierpieniem, bezmyślne, zaszepcone wielkim wysiłkiem kojarzenia myśli i nagle zobojętniałe, zamknięte w sobie... I to one pozostają przede wszystkim w pamięci widza.” To chyba nie przypadek, że pośród wymienianych i opisywanych w książce części ciała, najbardziej uprzywilejowana w cielesnej topografii jest twarz. Nie jest to twarz idealna, często anonimowa twarz-fetysz z obrazków kultury masowej. Twarzom portretowanym przez Baczaka brakowało powabu i świeżości. To nie są twarze na okładkę. Mają za to swoje indywidualne piętno i swoją historię. Uważna lektura anatomii i dzieł twarzą prowadzi do konkluzji bliskich refleksji filozoficznej Rosenzweiga i Lévinasa. Twarz staje się epifanią.

„Golenie miało w sobie ukryty smak poznawania. Stojąc przed zarośniętymi twarzami starych mężczyzn, odkrywałem je na nowo. Ostrze maszynki ścigało pianę i wynurzały się znajome zmarszczki i zagłębienia. Wyżłobione góry i doliny z bliska. Poszarpany pejzaż doświadczeń, który za każdym razem okazywał się nowy, bolesny. Stawał się widomym znakiem rezygnacji, pogodzenia się. Goliłem zawsze pod koniec zmiany, powoli, żartując i rozmawiając. A jednak golenie stało się z czasem pełnym namaszczenia rytuałem. Obcując z ich twarzami, stopniowo i niewyraźnie uświadamiałem sobie, że obcuję z częścią świętości. Z czasem te twarze zlewały się w pamięci w jedną, która stawała się może obliczem tej zasady, może obliczem czasu. Zagarniała w siebie tak wiele znaczeń, że stawała się milczącą, przytłaczającą obecnością.

Żyłem przed Obliczem.”

W doświadczeniu twarzy ciało samo siebie transcenduje, znosząc tym samym mocno utrwalone w naszym myśleniu i zdawałoby się nieusuwalne granice między cielesnym i duchowym.

* * *

Skromne objętościowo *Zapiski* odkrywają ziemię nieznaną w tabuizującej chorobie, starości, śmierci, cielesny rozkład kulturze współczesnej. Przy czym, ów świat nieprzedstawiony i przemilczany pokazuje autor, co warto podkreślić, z wielkim taktem i umiarem. Sprzyja temu forma: ascetyczna stylistyka tekstu. Unika skrajności, nie ma tu pozy na siostrę miłosierdzia, ale też brak delektacji fizyczności. Jest szczery, nie ukrywa początkowego zażenowania, wstrętu i obrzydzenia ludzką cielesnością – tą żywą i tą martwą. Ale z czasem przychodzi zgoda, oko przyzwyczajając się, więcej: zaczyna dostrzegać rzeczywistość, której wcześniej nie podejrzewało. Baczak doprowadza nas na próg tej rzeczywistości.

Nie napisał on, rzecz jasna, swojej książki „za czymś”, albo „przeciw czemuś”. To najpierw i przede wszystkim zapis doświadczenia wewnętrznego. Nie jest to żadna diagnoza, nie mówiąc już o krytyce, współczesności. Ale pośród różnych możliwych lektur, można także odczytać ją jako szczególny, bo nie odnoszący się wprost do tematu, głos w dyskusji o statusie ciała w kulturze współczesnej. Głos spokojny, nieafektowany, świadczący jedynie prawdziwie przeżycia. Wspominam o tym dlatego, bo pojawiające się ostatnio coraz częściej rozmaite formy kontestacji obrazów zdrowego, pięknego, muskularnego i w istocie nierzeczywistego ciała ludzkiego, zwłaszcza te z obszarów sztuki „wysokiej” (choć najczęściej są to ledwie aspiracje do tego miana) wpadają z reguły w pułapkę naiwnego naturalizmu. Przykładem, szlachetna w intencjach, ale banalna w większości realizacji, ubiegłoroczna wystawa *Antyciała* w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej. Nie dość, że artystom sztuka pomyliła się z doraźną – cóż z tego, że stojąca po „służnej” stronie – publicystyką, to jeszcze przyjęta strategia zupełnie nie sprawdza się w odbiorze: ich „działa” prześcigały się jedynie w epatowaniu widza zgrzebną fizycznością i nachalną fizjologią. Efekt skandalu obyczajowego został osiągnięty, tyle że o żadnych wielkich kreacjach artystycznych nie mogło być mowy. Trudno też podejrzewać, aby przy pomocy drastycznego, w kilku przypadkach, obnażenia naszej cielesności, można było wyegzorcować wyidealizowane ciało kultury masowej. Książka Baczaka, dotykając, bez historii i zbędnego epatowania, obszaru przemilczanego przez współczesność, mówi o niej więcej i mocniej niż wszystkie zgromadzone na tej wystawie prace.

Zapiski z nocnych dyżurów postawiłbym obok wydanej, co ciekawe, również całkiem niedawno, książki, która stara się odsonić inny jeszcze, bardzo słabo rozpoznany aspekt naszej cielesności. Myślę o opowieści Anny Nasiłowskiej *Domino. Traktat o narodzinach*.

Traktat o umieraniu i traktat o narodzinach. Dwa skrzydła jednego dyptyku.